№ 15 WARSZAWA, DNIA 13 KWIETNIA 1912 ROKU ROK II



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

TADEUSZ CZACKI.

OBRAZEK SCENICZNY W 2-ch ODSŁONACH.

Ciąg dalszy.

p. Francisz. Kocham go, jak rodzonego i dumny jestem, że to on właśnie patrzył na moje rany, że pod jego dowództwem krew swoją dawałem dla świętej sprawy. Byłem z nim w klasztorze Berdyczowskim, gdzieśmy po nieudanej konfederacji Barskiej bronili się przez długie 4 tygodnie, potem byłem z nim w okopach Św. Trójcy pod Kamieńcem.

O! byłoby co opowiadać na długo, na długo, jak to w krwi się broczyło i szło w taniec krwawy z piosenką na ustach, a wokoło proporce szumiały, kule świstały... a w sercu taka wiara, taki olbrzymi zapał... Hej! hej!

Tadzio Opowiadać będziecie, dobrze? Ja tak lubię słuchać!

p. Francisz. Będę... a cóż mi pozostało? stary jeszcze nie jestem, ale trudy, rany tak mię zmordowały, że już o wojence ani marzyć: bakałarzyć mi przyjdzie, dzieci uczyć, bajki gadać...

Tadzio. Uczylibyście?

p. Francisz. Oh, paniczu! Szczęśliwy będzie stary wojak, gdy za łyżkę strawy, za przyodziewek jaki taki każą mu uczyć dzieci abecadła i opowiadać, jak to na wojence bywa, jak to ułan leci w ogień z błyszczącemi oczami i sercem rozradowanem, że ziemi swojej służy... Paniczu, paniczu, dużo człowiek widział, dużo słyszał...

Tadzio (wzruszony). Uczylibyście dzieci?

p. Francisz. A pewno... bo cóż mi zostaje?

Wojować nie pójdę... (po chwili). Głodnym, synku!

Tadzio. Przebaczcie... zaprowadzę was do czeladnej, tam was ugoszczą...

Za sceną głos ojca. A kogóż to prowadzisz?

SCENA V.

Ciż sami i ojciec.

Tadzio. Starego żołnierza, ojczulku, z pod chorągwi konfederatów barskich, Franciszka Świątkowskiego. Prowadzę go do czeladnej, bo strudzony i głodny... Ojczulku, zaraz przyjdę... Mam do ojczulka ogromną prośbę.

Ojciec. Coś ty taki rozpalony? Czyś nie chory?

Tadzio E, nie, ojczulku, to tak z radości... ja tu zaraz przyjdę.

Ojciec. No, idź... idź... odpocznę na ławce (siada, do odbiegającego): Tadziu, a powiedz pani gospodyni, żeby się pośpieszyła z wieczerzą, bom głodny, jak wilk.

Głos Tadzia (zdaleka). Dobrze, ojczulku!

SCENA VI.

Ojciec sam.

Ojciec. Dobre dziecko... będzie z niego pociecha i dla ojca, i dla kraju! Biedna moja Kasia nie dożyła.. Cieszyłaby się z chłopca. Ha! wola Boża... (wchodzi Marysia z lewej strony — na tacy niesie chleb, masło, talerze).

SCENA VII.

Ojciec i Marysia.

Ojciec. Ho! ho! dobry znak. A cóż pani gospodyni da nam na wieczerzę?

Marysia. Kiełbasę z kapustą, proszę wielmożnego dziedzica.

Ojciec. Dobrze... głodnym...

Marysia Chleb dzisiaj pieczony...

Ojciec. Uwijaj się, uwijaj!

(Marysia wchodzi do dworu).

SCENA XIII.

Ojciec (patrzy na lewo). O! jak to pędzi! jak na złamanie karku!

SCENA IX.

(wpada Tadzio).

Tadzio. Ojczulku, mój złoty, kochany...

Ojciec. Najprzód siadaj i odpocznij...

Tadzio. Ojczulku, czy to ziemi swej tylko na wojnie można służyć?

Ojciec. Ot! powiedział, co wiedział! Nie synu, nietylko na wojnie, ale przy każdej pracy, w każdym zawodzie.

Tadzio. Ja też tak myślałem. Ojczulku, (klęka i całuje ojca w rękę) ten kasztanek, co ojczulek miał mi go kupić, drogo kosztuje, prawda?

Ojciec. Tak... tak... sporo groszy.

Tadzio. To niech ojczulek konia nie kupuje.

Ojciec. A toż co nowego? Tak się cieszyłeś z niego!

Tadzio. Bo ja, ojczulku, chcę ziemi swojej służyć, bo ja, ojczulku, chciałbym tak mocno, tak dobrze ziemi swojej służyć!

Ojciec. I dlatego nie chcesz konia? Nic nie rozumiem.

Tadzio. Ojczulku, a to by dobrze było, żeby na naszej ziemi wszyscy byli mądrzy?

Ojciec. A pewno... ale powiedz, co to ma do konia?

Tadzio. Ojczulku, zamiast konia dajcie mi pieniądze, przeznaczone na niego.

Ojciec. I na cóż ci tyle pieniędzy?

Tadzio. Ojczulku, nie pytajcie, to moja tajemnica...

Ojciec. Hm... hm...

Tadzio (całuje ojca po rękach). Za rok, a może wcześniej, sami zobaczycie i prze-

konacie się, że pieniądze dobrze użyte... ja o tem tak dawno myślę i teraz tak się dobrze składa. I jeszcze jedno, ojczulku...

Ojciec. I cóż jeszcze?

Tadzio. Wie ojczulek, tam za czeladną, z drugiej strony są takie dwie izby, jedna duża, a druga mała... Stoją puste, nikomu nie potrzebne—ojczulku, dajcie mi te dwie izby!

Ojciec. I na cóż ci to? Chłopcze! a może ty się żenisz? co? i chcesz mieszkanie dla żony przygotować? No, przyznaj się!

Tadzio. Ojczulek żartuje, to dobrze, bo spełni moje prośby...

Ojciec. A cóż mam robić? Tak molestujesz! Pieniądze twoje i izby twoje. Jesteś chłopiec dobry, stateczny i wierzę, że co zrobisz to na chwałę Boga.

Tadzio. Dziękuję ci, ojczulku! Takim rad! takim rad!

(Marysia wychodzi ze dworu).

SCENA X.

Tadzio. Marysiu, przywiozę ci jutro paciorków... całe dwa sznurki.

Marysia. E... panicz nie żartują?

Tadzio. Przywiozę, bom taki rad...

Ojciec. Nie zatrzymuj jej... dawaj wieczerzę!

Marysia. Migiem, proszę wielmożnego pana (wybiega).

Ojciec. Pokaż no głowę... (obejmuje). Jakiś ty rozpalony... Głowa cię nie boli?

Tadzio. E, nie...

Ojciec. Chodź na wieczerzę.

Tadzio. Ojczulku, zaraz przyjdę, zaraz, tylko tam na chwileczkę pobiegnę, na chwileczkę...

Ojciec. Pali się w głowie... (całuje go w czoło). A nie choruj, bo będzie bura! (Tadzio biegnie na lewo — ojciec wchodzi do dworu); krótka pauza— słychać za sceną śpiew p. Franciszka.

SCENA XI.

Za sztachetami wiejscy chłopcy: Wojtek, Jasiek, Józiek, Staś i inni — zaglądają ciekawie.

Wojtek. Paniczu!

Staś. Już poszedł.

Jasiek. Na wieczerzę!

Józiek. Nie krzyczta, bo wielmożny dziedzic wyjdą.

Wojtek. Paniczu! paniczu!

(wchodzi Marysia z półmiskiem)

SCENA XII.

Marysia. O! jak to się drą! A do chałupy! patrzcie! a cóż wam do panicza! Widzita ich! jak do równego! (wchodzi do dworu).

SCENA XIII.

Wojtek. Nie ma co! trza do jutra zaczekać.

Staś. Kruszynę zaczekajmy...

Jasiek. Jak zjedzom, to wyjdom... (wbiega Tadzio).

SCENA XIV.

Wojtek. O idom... paniczu!

Tadzio. Dobrze, że jesteście, chodźcie tu na chwilę, tylko prędko (chłopcy wbiegają lewą stroną).

Tadzio. Powiem wam wielką nowinę— słuchajcie! (staje na ławce) Będziemy mieli w Porycku... zgadnijcie co?

Głos ojca. Tadek! do domu!

Tadzio (zeskakuje). Idę, ojczulku... (do chłopców): Jutro wam powiem! (wbiega do dworu).

Kurtyna opada.

Koniec I-ej odsłony.

D. c. n.

Gustaw le Rouge.

NIEWIDZIALNI.

Ciąg dalszy.

W milczeniu zabrano się do ponownej pracy, próbując oswobodzić ciało kapitana. Nie mogło być mowy o ruszeniu z miejsca rozpalonej bryły; postanowiono więc próbować rozbić ją na części, ponieważ minerały tego składu są zwykle dość kruche.

Jerzy pierwszy zaczął nad tem pracować, używając motyki ogrodniczej. Po kilku minutach odpadł duży odłam, a Jerzy ujrzał ze zdumieniem, iż powierzchnia meteorytu wyglądała zupełnie inaczej, niż wnętrze. Była ona czerwono-bronzową w zielonawe plamy, jakie nadaje głazom wysoka temperatura; pod tą powłoką była substancja biała, w której tkwiły rurki koloru czerwonego, ostro zakończone. Niektóre z nich strzaskane zostały uderzeniem motyki Jerzego i sączył się z nich kroplami płyn bezbarwny, gęsty.

Jerzy zatrzymał się, nie wiedząc, co ma o tem myśleć.

— Co mam dalej robić, panie Pitcher? — zapytał — żadne przyrodnicze badania nie wykryły podobnych meteorytów!

— Zwyczajna krystalizacja! – mruknął Ralf, pochłonięty smutkiem.

— Nigdy nie widziałem krystalizacji, zawierającej we wnętrzu płyny—rzekł Jerzy—przytem bryła ta ma kształt tak regularny, jakby ją obrobiła ludzka ręka... Zdaje się, iż jesteśmy na drodze do nadzwyczajnych odkryć! Pomyślcie, że ten dziwny głaz musiał zapewne przywędrować z jakiejś dalekiej planety... Jeśli go skruszę, nie będziemy go mogli badać... Doprawdy, nie wiem co robić!

Wszyscy byli przejęci niecierpliwem oczekiwaniem.

Miss Alberta zamieniła z Ralfem znaczące spojrzenie.

— Rozbijmy tę bryłę!—zawołał gwałtownie Pitcher—tylko musimy uważać, aby nie tworzyć drobnych odłamków.

Jerzy wziął ostrożnie w rękę odbity kawałek.

— Szczególna rzecz! — szepnął gorączkowo — z wierzchu kamień jest rozpalony, a wewnątrz zimny, prawie lodowaty. Czem możesz pan to wytłomaczyć?

— Nie wiem... nic nie wiem — dalej do pracy!

Ręce ich, drżące z niecierpliwości, pracowały ze zdwojoną siłą, kiedy nagłem uderzeniem motyki Jerzego został odbity większy odłam. Z czterech piersi wydarł się okrzyk zdumienia... W otworze ukazała się, oswobodzona z kamiennej powłoki — stopa ludzka!

Motyka wypadła z ręki Jerzego, ogarniętego wstrząsającem wrażeniem.

— Człowiek... człowiek! — powtarzał, jak obłąkany — w tym głazie zakuty jest człowiek!

— Chyba trup człowieka — rzekł głucho Ralf.

— Wszystko mi jedno, muszę go widzieć! — wołał Jerzy.—Czyż nie pojmujecie, że tym człowiekiem może być tylko brat mój, Robert! Muszę się dowiedzieć — żyje, czy zginął!..

— Jakże możesz tak się łudzić? — rzekł Ralf ze smutkiem.—Myślę o tem już od jakich dziesięciu minut, ale nie śmiałem... nie mogłem tego powiedzieć!

Tu wskazał ruchem ręki na miss Albertę, która z twarzą zbielałą, słaniając się, oparla głowę na ramieniu Kerify.

Na te słowa jednak wyprostowała się z ogniem w oczach, z rękami wyciągniętemi, ożywiona szaloną, nieprawdopodobną nadzieją. W świetle pochodni, pod wysokiemi sklepieniami, delikatna jej piękność nabierała wyrazu tragicznego: rzekłbyś, że to któraś z bohaterek starego Eschylesa, przyzywająca niebo na świadki!

— Nie, panowie—rzekła uroczyście—Robert Darvel nie umarł.. on nie mógł umrzeć! Ludzie tacy nie ulegają tak łatwo—głos jakiś mi mówi, że wraca — zwycięzcą!

I dodała z zupełną, ślepą wiarą:

— Czyż byłby tutaj, gdyby był zginął? Nic nie jest niedostępnem dla zwycięzcy przestrzeni—wrócił tu, bo chciał tego!

Te gorące słowa zachwiały przekonanie Ralfa; serce jego zaczęło uderzać gwałtownie: nie mogąc odzyskać spokoju, był bliskim szaleństwa.

— Ależ — wyjąkał wreszcie — czyż mamy pewność, że to jest Robert?

Nie dokończył jeszcze tych słów, a już Jerzy rzucił się znów do bryły, zadając ślepe razy tu i owdzie. Ogarnął go rodzaj szału: pod jego uderzeniami odłamki bryły leciały na wszystkie strony, a ze zmiażdżonych rurek szklanych wyciekał płyn o zapachu przejmującym.

— Ależ uważaj pan — zawołał Ralf — nie można się do tego brać z taką furją, przecież możesz go zranić!

Uwaga była słuszną; Jerzy zaczął pracować spokojniej.

Teraz kształt ludzki wyłaniał się coraz bardziej z niekształtnej bryły, jakby go z niej wydobywała ręka biegłego artysty-rzeźbiarza. Człowiek ten siedział, z brodą wspartą na kolanach; na nich również założone były skrzyżowane ręce. Ten kształt nadają mumjom mieszkańcy wysp Azorskich i niektóre ludy Ameryki, np. Inkasowie, zamykając je następnie w wielkich urnach glinianych.

Pitcher, uderzony tem podobieństwem, opuścił głowę, milcząc.

Zauważył jednak, iż owe rurki, mieszczące płyn tajemniczy, były z jednego końca rozszerzone lejkowato i ten przylegał bezpośrednio do ciała człowieka, z drugiego zaś zwężone i zamknięte. Przyszło mu na myśl, że płyn ten musi mieć własności przeciwgnilne, potrzebne do przechowania mumji. Lecz ten domysł mu nie wystarczał, a nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek słyszał o środku takim.

Podczas tych jego rozmyślań, Jerzy pracował w pocie czoła; wkrótce cały tors człowieka już był odkrytym.

Pozostowała tylko jeszcze twarz, z odsłonięciem której Jerzy się zawahał. Nie śmiał odrzucić tej ostatniej powłoki, a serce jego ściskało się w obawie zawodu, który go może oczekuje.

Ciało pozostawało bez ruchu, w jednakowej postawie.

— Kończcie! — szepnęła miss Alberta—raz dowiedzmy się prawdy, aby wyjść z tej straszliwej niepewności!

— Nie mam odwagi—wyjąkał Jerzy, którego głos ledwie się wydobywał ze ściśniętego kurczowo gardła.

(D. c. n.). (Tłom. z fran. *K. W.*).

Ernest Seton Thompson

DZIELNY ROGACZ

(BARAN GÓRSKI).

Ciąg dalszy.

Ale w tej chwili skoczyło na drugi kamień lub wzgórek i stanowczem bystrem spojrzeniem objąwszy go w posiadanie, czekało zaczepki.

I znowu rozpoczynała się walka.

Przy tych zabiegach gimnastycznych zwykle brał górę Białonosek, bo był większy i tęższy, zaś przy wyścigach zwyciężał zwykle Rogaczek. Był on niezmordowany w ruchach: od rana do wieczora w ciągłych podskokach i jeszcze mu było mało.

W nocy spały jagniątka przytulone do mateczek swych, w bezpiecznym kątku, gdzie dosięgały ich i grzały pierwsze promienie słońca porannego. Rogaczek był pierwszy na nogach, Białonosek zaś lubił wygody; leżał więc póty skulony, dopóki matka nie zbudziła go i nie zapędziła do codziennych zajęć.

Miał on oprócz białego noska, białą plamę na szyi; jestto wprawdzie właściwością wszystkich owiec górskich, ale u Białonoska była ona szczególnie duża i znaczna, a dla Rogaczka była tak ponętna, że nie mógł nigdy przejść obok niego, aby go nie chwycić za szyję. Sprawiało mu to specjalną przyjemność, gdy mógł obudzić swego przyjaciela uderzeniem głowy właśnie w tę białą plamę.

Owce górskie żyją przeważnie w stadach — im liczniejsze są stada, tem więcej oczu widzi niebezpieczeństwo. Myśliwi jednak tak skrzętnie uprzątali góry Łubinowe z ich mieszkańców, że zaledwie po kilka lub kilkanaście sztuk pozostawało w stadzie, a największe liczyło najwyżej trzydzieści głów. Najbardziej niezmordowanym w prześladowaniu owiec był Scotty. Dach jego chaty był cały pokryty rogami owiec, a pół izby zajmowały skóry owcze, czekające na kupców.

W połowie czerwca nieraz można go było spotkać ze strzelbą w ręku, czyhającego na jagnięta, gdyż dla niego czas polowania trwał przez cały rok; za każdym razem jednak czujne matki zobaczyły go zdaleka i albo w okamgnieniu uciekły, albo krótkim, gwiżdżącym dźwiękiem dawały swym dzieciom znak, by się nie poruszały.

Wtedy jagniątka stały nieruchome jak

kamienie, jakby wiedziały, że każde najlżejsze poruszenie, grozi im niechybną śmiercią. Potem zaś, gdy nieprzyjaciel, niezauważywszy ich, skierował się w inną stronę, uciekały co sił starczyło.

Ale pewnego dnia, gdy przechodziły przez las sosnowy, poczuły jakiś nieznany zapach. Zatrzymały się, żeby się przekonać co to było, gdy nagle zeskoczyło jakieś zwierzę ze skały wprost na matkę Białonoska i przewróciło ją na ziemię.

Przerażony Rogaczek uciekł ze swą matką, a rosomak — gdyż on to był — położył wkrótce koniec życiu swej ofiary, potem skoczył na samego Białonoska, który stał obok jakby skamieniały ze strachu — i jego również położył niemiłosiernie trupem obok matki.

IV.

Matka Rogaczka była średniej wielkości owcą, ale silnie zbudowana. Rogi jej były dłuższe i ostrzejsze, niż u zwykłych owiec i miały kształt włóczni. Posiadała też zdrowy rozum owczarski — i spostrzegłszy, że okolica, w której żyła, stała się niebezpieczną, postanowiła z niej wywędrować, zwłaszcza po ostatnim tragicznym wypadku.

Czemprędzej więc zbiegła ze stoku Baraniej góry, a za nią pędził Rogaczek; co chwila jednak zatrzymywała się i stawała w nieruchomej postawie, podobna do omszonej skały i badała okolicę. W ten sposób udało jej się nawet raz uratować przed czujnym wzrokiem starego myśliwca.

Ku wieczorowi, gdy zatrzymała się nad wodną granicą, ujrzała na górze jakieś poruszające się postacie. Zaciekawiona przyglądała się im uważnie i przekonała się, że to były owce, szare z białemi plamami z tyłu i z przodu, w paskowanych pończochach. Podeszła więc bliżej, przeciw wiatrowi i skrzyżowała trop nieznajomych. Nie omyliła się: były to ślady dwu wielkich gruborogich owiec. Ślady te powiedziały jej dalej, że były to barany.

Według zwyczaju, owce górskie żyją oddzielnemi stadami — barany same, a owce i jagnięta także osobno. Wolno im poszukiwać się wzajemnie i żyć razem tylko w początkach zimy, wtedy jest czas ich miłości i wesela, pozatem unikają siebie.

Matka Rogaczka, którą nazwiemy Włóczniorożką, była jednak bardzo rada, że dostała się w okolicę owczą i spokojnie przeskoczyła strumyk. W nocy znalazła schronienie w jakiejś jaskini, a następnego dnia powędrowała dalej, pasąc się po drodze. Po chwili poczuła zapach, który ją skłonił do pójścia za nim i wkrótce przekonała się, że była w pobliżu stada matek z jagniętami. Idąc śladami, znalazła się niedługo tak blizko, że mogła nawet im się dobrze przypatrzeć. Było ich wszystkich razem dwanaście. Głowa jej wystawała ponad skalny występ, widziała więc wszystko, nie będąc spostrzeżoną. Ale gdy Rogaczek wychylił swą okrągłą główkę, żeby coś zobaczyć, jedna z czujnych matek w stadzie posłyszała szelest i wydała znaczący gwizd, poczem wszystkie owce zamieniły się w nieruchome słupy, zwrócone oczami w kierunku niebezpieczeństwa. Teraz wystąpiła śmiało Włóczniorożka, wskutek czego całe stado pogalopowało na lewo, podczas gdy ona z Rogaczkiem zwrócili się na prawo.



Zmieniły się więc kierunki ich wę-

szenia i stado poznało przeciwniczkę. Wtedy odłączyła się od stada matka przodownica i stanęła naprzeciw Włócznioróżki. Węszyły się i bacznie przyglądały. Przodownica tupnęła nogą, a Włóczniorożka przyjęła postawę bojowniczą. Posuwały się ku sobie z głowami pochylonemi, z rogami nastawionemi, wreszcie natarły — i Włóczniorożka przebiła swym ostrym rogiem ucho przeciwniczki. Cios ten był decydujący i przodownica wróciła do stada, straciwszy chęć do dalszej walki. Włóczniorożka poszła za nią, a Rogaczek, zdziwiony bardzo tem, co zaszło, szedł tuż niedaleko. Stado zawróciło i wzięło się do ucieczki, ale że napastnica w żaden sposób nie chciała ustąpić, otoczyły ją ściśle i w ten sposób została przyjęta do ich gromady.

Z nią więc ceremonja przyjęcia była załatwiona, ale i Rogaczek musiał przejść także jedną próbę. W stadzie było 7—8 jagniąt, przeważnie starszych i większych od Rogaczka, które, na równi ze wszystkiemi zwierzętami czuły się w obowiązku zwyciężenia przybysza, choćby tylko dlatego, że był obcy. Pierwszy przedsmak przyjęcia otrzymał Rogaczek w postaci niespodziewanego kuksańca w szyję, w to samo miejsce, w które sam Białonoskowi podobne robił niespodzianki. Ale teraz to było całkiem co innego, wcale nie wydało mu się śmieszne i skoczył podniecony na przeciwnika, ale gdziekolwiek się zwrócił, wszędzie stało jakieś jagnię gotowe do odporu, tak że wreszcie biedny Rogaczek udał się pod opiekę matki.

Dokuczanie takie małemu przybyszowi trwało i przez resztę dnia, ku wielkiej uciesze stadka. Rogaczek, znalazłszy się pierwszy raz w tak licznej gromadzie, nie wiedział, co z sobą robić, bronił się jak umiał, ale zręczność jego i wszystkie znane mu sposoby nic tu nie znaczyły.

Drugiego dnia chciały jagniątka rozpocząć zabawę na nowo. Największy z nich i najsilniejszy rozpoczął pierwszy. Był to baranek krępy i gruby o małych, pokręconych rogach, wskutek których nazwiemy go Krętorożkiem. Właśnie zbliżył się w chwili, gdy Rogaczek wstał i wierzgnął tylnemi nogami, jak to jest zwyczajem owiec, napadł go więc z całej siły, tak że Rogaczek potoczył się, zaraz jednak powstał i rozwścieczony stanął naprzeciw. Wokamgnieniu dwie wełniste główki natarły na siebie i tak się tłukły jak dwie piłki. Walka szła na serjo. Z początku Rogaczek musiał ustępować; Krętorożek brał górę, ale w końcu pierwszy tak zręcznie trafił przeciwnika z zakręconemi mocnemi rożkami, że ten cofnął się i uciekł. Inne jagnięta, przypatrując się tej walce, uznały przybysza za godnego członka towarzystwa i przyjąwszy go, zakończyły czas próby.

V.

Często wydają się dziwne i niewłaściwe rozmaite prawa jakiemi się ludzka społeczność kieruje i uważa się je za wymysł tyranji. Niektóre jednak z nich są tak stare, że zanim były u ludzi, istniały już u wszystkich dzikich zwierząt, rozwijając się zależnie od ich instynktu.

Gdy się ukaże np. kura lub kogut na podwórzu, w tej chwili szuka sobie miejsca najdogodniejszego, a wybór jego zależy zwykle od zręczności i siły.

(D. c. n.)

Tłom. *M. Arct-Golczewska.*

WIOSENNE POSŁY.

Jeszcze niby zima; jeszcze czasami migają śniegowe płatki, ale wiosnę już czuć w powietrzu; już natura poczyna budzić się ze snu zimowego do nowego życia. Lada dzień drzewa pokryją się zielonemi pąkami, na łąkach zabrzmi urocza muzyka brzęczących owadów. Nasi skrzydlaci goście, którzy jesienią nas pożegnali i jak bogata arystokracja powędrowali na południe szukać ciepła, z nadejściem wiosny wracają, zwiastując tem powrót pożądanej pory.

Najpierwszymi przybyszami, zapowiadającymi powrót wiosny są: skowronek i czajka.

Każdy zna skowronka, „śpiewaka Matki Bożej“. Jego dźwięczna i tkliwa piosenka jest niby kwileniem dzieciny, niby głosem przyrody, wzbijającym się wyżej, coraz wyżej w nadziemskie przestwory.

Nazywamy go „zwiastunem wiosny“ bo nieraz śniegi jeszcze na polach, mróz na świecie, Luty nie dobiegł jeszcze końca lub ledwie zaczął się Marzec a on już się pojawia w naszym kraju, w powrotnej podróży z Włoch południowych, lub Afryki północnej.

Ruchliwa to ptaszyna. Rzadko dłużej na jednem i tem samem miejscu się zatrzymuje, lata bezustannie tu i owdzie, sprzecza się z innemi skowronkami, lub wabi swym śpiewem. Lubi wzbijać się wysoko, zataczając szerokie kręgi i śpiewając bezustannie. Nieraz słychać w górze śpiew jego, ale śpiewaka dojrzeć nie można.

Ptaki śpiewające mają zazwyczaj pewne pory dnia, w których milkną; a skowronek pod tym względem jest niezmęczony. Od świtu do zmroku śpiewa bezustannie. Gdy wabi, wydaje głos podobny do głosek: „gir“, „gorrel“, których serję kończy dźwiękiem „tirit, tirit, tirit“. Gdy się gniewa, słychać przez czas dłuższy „czerrerrer.“ Przy gnieździe odzywa



się ciągle „titri,—titri, – titri“ wprawne ucho po dźwiękach tych odróżni dokładnie, co porabia skowronek i w jakim jest humorze.

W naszym kraju żyją trzy gatunki skowronków. Są to: skowronek polny (alauda arrensis) skowronek leśny (alauda arborea) i skowronek czubaty (galerita cristata). Rysunek nasz przedstawia pierwszego z nich.

Skowronek leśny jeszcze piękniej śpiewa od polnego, ale nieczęsto zdarza się go słyszeć, zwłaszcza w naszych, rów-

nych okolicach, woli bowiem zamieszkiwać góry, lasami pokryte. Przyrodnicy twierdzą, że gatunek ten jest coraz rzadszym i powoli zanika; jaka jest tego przyczyna—niewiadomo.

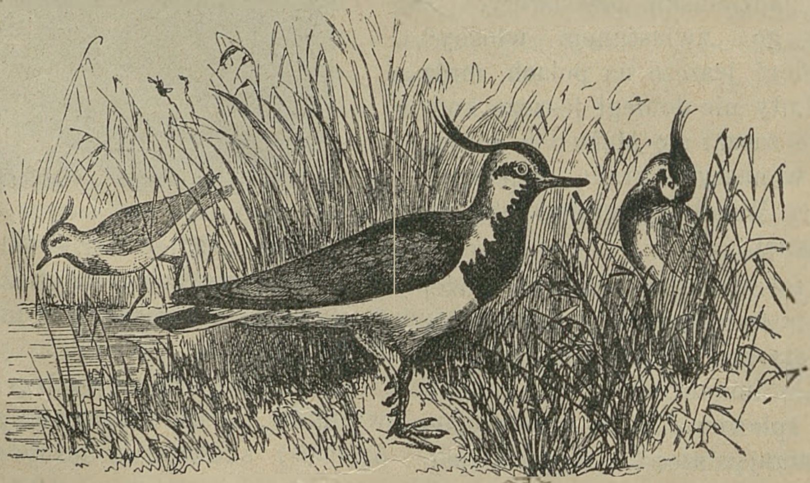
Wśród mieszkańców gór jest to ptak ulubiony, dzięki nieustannemu śpiewowi. Nieraz nocą nawet słyszeć go można. Tem przyjemniejszym jest jego pobyt w górach, że już od drugiej połowy Września, on jeden śpiewem swym rozwesela posępne, górskie krainy i ich milczące lasy.

Skowronek czubaty odróżnia się od swych krewniaków nietylko czubkiem na głowie ale i odmiennym sposobem życia. Przedewszystkiem nie odlatuje na zimę, lecz zostaje na miejscu, a gdy mu głód i chłód dokuczy, grzebie w śmieciach na podwórzach wiejskich, zagląda do stodół, a nawet do mieszkań ludzkich. Śpiewa bardzo mało i rzadko, lubi przebywać na drogach, zwłaszcza na polnych, szerokich i piaszczystych, i koło nich buduje swe gniazdka w wielkiej odległości od mieszkań ludzkich.

lił się od niedawna. Rzadszym już od skowronka i mniej znanym zwiastunem wiosny jest czajka (Vanellus cristatus). I ona przybywa do nas z chwilą topnienia śniegów, a z odlotem zwleka tak długo, że stała się przysłowiową: „wybiera się, jak czajka za morze"—mówią ludzie o tych, co powoli do jakiejś pracy, lub czynności się przygotowują. Żal widocznie tej ptaszynie opuszczać nasze okolice i nieraz ciężko za to pokutuje. Gdy śnieg przyprószy—żywność staje się trudną do zdobycia, ale czajka czeka, w nadziei, że śnieg stopnieje. Kilka towarzyszek już odleciało, inne zwlekają; wreszcie bagna i strumyki, ulubione miejsca pobytu czajek zamarzają, ptaszyny błąkają się, słabną z głodu i giną.

Czajki osiedlają się na mokrych łąkach w pobliżu moczarów, lub niewielkich strumyków. Woda jest dla czajki niezbędną.

Charakterystyczną jej cechą jest długi, sztywny warkocz z piór, wystający z tyłu głowy, nieco w górę wygięty. Gniazdo ściele sobie zdala od mieszkań ludzkich,



Ptak ten pochodzi z Mongolji, gdzie jest bardzo pospolity; powoli posuwa się ku zachodowi, ciągnąc zawsze wzdłuż dróg szerokich. Są okolice w Niemczech zachodnich i północno-zachodnich, gdzie osied-

instynktownie bowiem unika człowieka. Nadzwyczajnie czujna, czajka za pojawieniem się człowieka, lub zwierzęcia, w którem przeczuwa niebezpieczeństwo, wydaje głos płaczliwy, jęczący, niby kwilenie

chorego dziecka, czem ostrzega wszystkie inne ptaki. Płacz ten daje się często słyszeć na łąkach i moczarach, wywierając na ludziach przejmujące wrażenie.

Czajka żywi się tylko owadami, ślimakami, przeważnie szkodnikami polnemi dzięki czemu jest ptakiem nadzwyczaj pożytecznym. Niestety! Chłopcy wiejscy nie rozumieją tego i wybierają jajka ptaszyny. Z tego powodu czajka staje się u nas coraz rzadszą.

W obronie dzieci swoich czajka naraża się na niebezpieczeństwo; na mniejsze zwierzęta napada i odpiera je uderzeniem dzioba i skrzydeł, większe stara się odstraszyć krzykiem i oblatywaniem dokoła. Nawet względem człowieka używa tej taktyki i przelatuje szybko obok jego głowy, budząc obawę, że uderzeniem dzioba może spowodować niebezpieczeństwo.

S. O.

REGALJA KRÓLEWSKIE.

(Przygody profesora Nickiego i jego famulusa. Pawełka).

Opowiedział Edmund Jezierski

Ciąg dalszy.

Pani Marcinowa, mrucząc pod nosem różne złorzeczenia, które w końcu przybrały formę bardziej realną w słowach:

— A mówiłam panu profesorowi, żeby głupstw nie robił... Co by na to nieboszczka pani powiedziała... – zabrała się do zbierania rozrzuconych rzeczy i pakowania ich do bryki.

Tomasz zajął się zaprzęganiem koni, i wreszcie wszystko było już gotowe.

Profesor zajął miejsce na bryczce, przy nim usadowiła się pani Marcinowa, już i Tomasz wdrapywać się zaczął na kozioł, gdy naraz spostrzeżono nieobecność Pawełka.

— Gdzież się podział ten utrapieniec?...— pomyślała pani Marcinowa, rozglądając się ciekawie wokoło.

Spostrzegli to i strażnicy, gdyż jeden z nich zawołał:

— Nu, a gdzie jest chłopiec?

Zaczęto rozglądać się wokoło, szukać, lecz Pawełka nie było nigdzie ani śladu.

Przepadł, jak kamień w wodę.

Sprzykrzyło się wreszcie strażnikom to poszukiwanie i starszy z nich, rzekłszy:

— Nu, nie zginie znajdzie się i on odsiedzi swoje w areszcie, — dał znak Tomaszowi, by jechał.

— Ja nie pojadę bez Pawełka, — energicznie zawołał profesor, stając na bryczce.

— Jak nie pojedzie pan dobrowolnie, to i na to znajdzie się sposób, — rzekł strażnik, profesor zaś, widząc, że przed siłą ustąpić musi, opadł na siedzenie, nie mówiąc ani słowa.

Tomasz zaciął konie i bryczka potoczyła się naprzód.

Jechano do aresztu bez Pawełka.

VI. Pawełek bohaterem.

Areszt gminny w Pokrzywnicy Wielkiej nie należał do miejsc, tchnących zbytnim wykwintem i komfortem.

Położony tuż za kancelarją gminną, w normalnych warunkach służył za schronienie dla żywego inwentarza pana pisarza...

W razie, gdy zdarzał się jaki właściwy lokator, ubikację tę doprowadzano do pozornego porządku, a tymczasowego lokatora jego przenoszono do stodółki.

Na dobro gminy Pokrzywnica Wielka zapisać należy, iż lokatorzy właściwi aresztu trafiali się tam dość rzadko.

Wpływały też może na to i ściany aresztu, zrujnowane, przypominające wielkie sito.

W takiem pomieszczeniu znaleźli się po aresztowaniu swojem wszyscy nasi bohaterowie oprócz Pawełka.

Brak jego wielkim niepokojem przejmował i profesora i panią Marcinową. Jeden tylko Tomasz sceptycznie zapatrywał się na to i obojętnie machając ręką, mówił:

— Nie ma się pan profesor i ciotka co martwić. Nie zginie, znajdzie się!

Zdanie jego podzielali widocznie i strażnicy, gdyż zaniechali na razie poszukiwań.

Po przybyciu do gminy, nie zastali w kancelarji pisarza, który pojechał z wójtem za jakimś interesem urzędowym.

Przyjął ich tylko pomocnik pisarza, młody chłopak, o dość gapiowatej minie, oraz pani pisarzowa.

Dość długo czekać musieli w kancelarji, zanim areszt uporządkowano i przeprowadzono gdzieindziej dotychczasowych jego lokatorów...

Zmierzchało się już dobrze, gdy zaprowadzono ich tam. Znaleźli się w sporej izbie, stanowiącej coś pośredniego między chlewikiem a obórką.

W powietrzu unosiły się jeszcze specyficzne wonie poprzednich lokatorów a na podłodze znać było pośpiesznie oczyszczone ślady ich pobytu. Rzucone w kąt pęki słomy miały reprezentować posłanie dla świeżych aresztantów.

Pani Marcinowa z trudem potrafiła wymóc na gapiowatym pomocniku pisarza, że pozwolił jej zabrać z bryczki niektóre pakunki. Bryka sama, wraz z końmi, poszła na przechowanie do stodoły wójta.

Profesor Nicki zachował swój filozoficzny spokój wobec tak niezwykłej i nieprzewidzianej przeszkody. Trapiła go jedna tylko myśl, co się mogło stać z Pawełkiem?

Położył się na słomie, okrytej naprędce przez panią Marcinową pledem i zdawał się przez dziury w pułapie liczyć gwiazdy, które właśnie w chwili owej zabłysnęły na niebie.

Podobnyż spokój zachowywał i Tomasz. Legł sobie wygodnie na słomie i wkrótce w areszcie rozległo się donośne i potężne chrapanie jego...

Jedna tylko pani Marcinowa zdradzała silne i wielkie zdenerwowanie. Nie mogła usiedzieć na miejscu i mrucząc wciąż pod nosem jakieś złorzeczenia, pod adresem strażników i Pawełka, kręciła się po areszcie.

Noc już zapadła na dobre. Cicha, spokojna noc wiejska, kiedy wszystko śpi wokoło, i natura, i zwierzę, i człowiek...

Zdrzemnął się i profesor, znużony przejściami dnia całego, zdrzemnęła się i pani Marcinowa, a potężne chrapanie Tomasza rozlegało się nawet daleko...

Naraz zdało się profesorowi, jak przez sen, że słyszy jakiś szept głośny:

— Proszę pana profesora!... proszę pana profesora!...

Ocknął się ze snu, a usiadłszy na niezbyt wygodnem swem łożu, nasłuchiwać zaczął.

Szept się powtórzył i ku wielkiej swej radości, poznał profesor w tym szepcie głos Pawełka.

Przysunął się do ściany, od której biegł szept i spytał:

— To ty, mój chłopcze?

— Tak jest, proszę pana profesora, — odrzekł przyciszonym głosem Pawełek: to ja, — chciałem...

— W jakiż to sposób znikłeś nam tak niespodziewanie, że nigdzie znaleźć cię nie można było? Tyle się przez ciebie namartwiliśmy.

— A ja, proszę pana profesora, — tłomaczył się Pawełek—gdy tylko usłyszałem, jak pan profesor wspomniał o Wronówce i o panu Chajęckim, pomyślałem sobie, że dobrze było dać mu znać, to on albo paszport dostarczy, albo też uwolni pana profesora z kozy. Skorzystałem więc z tego, że strażnicy zajęci byli rozmową z panem profesorem, i po cichu schowałem się w krzakach. Ztamtąd, na brzuchu, tak jak indjanin, popełzłem jeszcze dalej i schowałem się w zbożu, a oni mnie naokoło szukali. Dopiero, kiedy ruszyli z miejsca, pobiegłem za nimi, ale nie mogłem nadążyć, i idąc drogą, doszedłem tu o zmierzchu. Rozpytałem się o gminę, i ukryty widziałem, jak wszystkich prowadzono do aresztu. Nie chciałem pokazywać się za dnia, bo bałem się, że i mnie złapią i wsadzą do kozy. Czekałem nocy, ażeby podejść i spytać się pana profesora, gdzie to leży ta Wronówka?

— Ależ to, mój chłopcze, daleko, w innym zupełnie powiecie! — rzekł profesor.

— Już ja sobie dam radę, tylko niech pan profesor powie, co mam powiedzieć temu panu?

Zamyślił się na sekundę profesor, wreszcie, wydobywając z kieszeni pieniądze, rzekł:

— Dobrze, udaj się tam, mój kochany, lecz nie piechotą a końmi. Masz tu trzy ruble, wynajmij sobie za nie bryczkę i jedź. Napewno znajdą się tu tacy, którzy znają dobrze drogę do Wronówki. A panu Chajęckiemu powiedz tylko całą prawdę i powiedz, że proszę go, ażeby mnie ratował.

Tu profesor przez szparę między deskami wysunął trzyrublowy papierek, który Pawełek pochwycił i szepnął:

Dobrze, proszę pana profesora! —

Po chwili szelest oddalających się kroków, wskazał, że udał się w drogę, ażeby wykonać otrzymany rozkaz.

Teraz profesor, uspokojony znacznie co do losu chłopca i swego, położył się na słomie i wkrótce zasnął smacznie.

Pawełek tymczasem, który zwycięzko opierał się znużeniu, puścił się do widniejących nieopodal chałup.

Śmiało zapukał do jednej z nich, a gdy wreszcie po długiem czekaniu dał się słyszeć gruby głos, pytający:

— Kto tam? — rzekł:

— Mój gospodarzu, chciałbym się dowiedzieć, czybyście nie mogli zawieść mnie do Wronówki?

W izbie dało się słyszeć mruczenie, szmer jakiś, wreszcie zastukały zasuwy i na progu stanęła barczysta postać wieśniaka.

Bystrem spojrzeniem obrzucił postać chłopca, i niedowierzająco spytał:

— Do Wronówki, do pana Chajęckiego?

— Tak — odrzekł mu Pawełek, uradowany, że natrafił odrazu na kogoś, kto wiedział drogę.

Podrapał się wieśniak w głowę i znów rzekł:

To bardzo daleko. Będzie kosztować rubla furmanka...

— Dobrze, dobrze. Zapłacę nawet i więcej, byleśmy tylko zaraz wyjechali.

— Ale zapłata z góry? — wciąż nieufnie pytał wieśniak. D. c. n.

Siła oddechu i wąż z karty.

Siła oddechu ludzkiego jest nader wielką, o czem nie każdemu wiadomo, lubo nie jeden z nas wydymał torby papierowe i pukał niemi. Kto ma zdrowe płuca, może wykonać następujące doświadczenie: jajko przerzucić z kieliszka do kieliszka drogą wydmuchiwania.

W tym celu należy silnie dmuchać w otwór, czy szparę, jaka się tworzy pomiędzy jajkiem a brzegiem kieliszka, a niezawodnie ono wyskoczy. Z tego momentu trzeba zręcznie skorzystać, ażeby silnem dmuchnięciem wprowadzić je do drugiego kieliszka.

Do rzędu tych samych zjawisk zaliczyć należy węża z karty. Kartę należy wyciąć wężykowato i rozciągnąwszy obroty, zawiesić ją na drucie nad lampą. Wtedy, dzięki prądom ogrzanego powietrza, sprężyna karciana zaczyna się kręcić bardzo szybko. To samo doświadczenie można zrobić przy dobrze napalonym piecu.

Drobiazgi.

Telegraf w kapeluszu. Elektrotechnik amerykański dokonał ciekawego wynalazku aparatu telegraficznego w kapeluszu.

Przy pomocy tego aparatu każdy może, idąc, otrzymywać depesze i wysyłać je, w myśl zasady: czas to pieniądz!

* * *

Gdy tłum ludu w Paryżu, zgromadziwszy się, oburzony podniesioną ceną żywności, wołał: „chleba! chleba!“ pan d'Argenson, znalazłszy się w tem zbiegowisku, spostrzegł kobietę otyłą, niemal kwadratową, która najgłośniej krzyczała; ująwszy ją za rękę wyprowadził przed tłum i rzekł:

— Patrzcie, moi państwo, czy ta osoba ma prawo narzekać na głód i wołać chleba!

Lud roześmiał się, a d'Argenson skorzystał z tego dobrego usposobienia i namówił go do rozejścia się.

Święcone w ochronce „Mojego Pisemka”.

W Wielki Czwartek, d. 4 Kwietnia, o godzinie 12 w poł. jasna i czysta ochronka „Mojego Pisemka“ zapełniła się wesołym gwarem dzieci, pełnych radosnego oczekiwania, oraz gromadką czytelników „Naszego Świata“ i „Mojego Pisemka“, pragnących oprócz pomocy materjalnej, jaką stale udzielają, dać współudział w rozdzielaniu podarków i przysmaków świątecznych. Ochronka, przyozdobiona ślicznemi wycinankami, tworzącemi artystyczny fryz na białych ścianach, z gościnnym nade drzwiami napisem: „Witamy”! ledwie mogła pomieścić wychowańców i gości. Nikt tam jednak nie miał wrażenia, że się znajduje wśród obcych; była tam tylko liczna rodzina, wśród której są bogatsi i ubożsi, wielcy i mali, o różnym poziomie wykształcenia, ale wszyscy — swoi. Na długim stole wznosiły się piramidy mięsiwa, ciast, pomarańcz i t. p. a obok ol-

brzymi kosz z paczkami ubrania i bielizny. Wnet główna opiekunka, p. Marja Bujno-Arctowa, wyznaczywszy każdemu z chętnej młodzieży odpowiednie zajęcie, zaczęła kierować rozdawaniem ubrania i jedzenia. Rozradowane maleństwa, z pełnemi fartuszkami, odchodziły do ławek, bez sprzeczek i zamieszania, chrupiąc potrosze otrzymane specjały. Naostatek, trzeba wspomnieć o dwóch faktach, wykazujących wielką kulturalność wychowańców ochronki.

Pomiędzy innemi podarkami, otrzymanemi przez nich, były i mydełka, z których jedno dziecko dostało przez omyłkę dwa, zamiast jednego. Rozpatrzywszy się jednak w swoich skarbach, wróciło wkrótce do stołu, zwracając z własnego natchnienia owo drugie mydełko. Drugim faktem znamiennym było głosowanie, na zaszczyt otrzymania trzech baranków z chorągiewkami. I na to dzieci same wybrały troje z pomiędzy siebie, odznaczających się dobrem sprawowaniem i pilnością, a „wybory" te przeprowadzono szybko, zgodnie i wesoło. Cała ta uroczystość, daleka od przyjętego w tych razach szablonu, pozostawiła po sobie nader miłe wrażenie we wszystkich obecnych.

„O własnych siłach".

SZARADA

ułożona przez «Parsywala».

Pierwszy jest częstym gościem na kominie,
Drugie dla tego, kto krzyczy, przestroga:
Trzecia z drugą nie nasza, a w naszej krainie
Jest *wszystka* — dla Polaka serca bardzo droga.

ARYTMOGRAF

ułożony przez «Podolaka».

Cyfry zastąpić literami tak, aby początkowe litery utworzyły imię i nazwisko autorki polskiej.

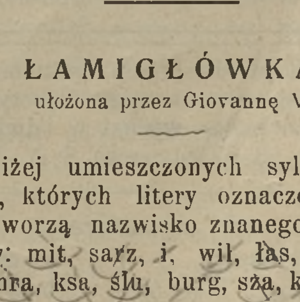
2, 5, 9, 1, 6, 8 — Część świata
3, 4, 2 0, 1 0, 8 — Kraj złączony z Polską.
4, 9, 2, 1 1, 8 — Imię żeńskie.
1 6, 8, 1 5, 1 1 7, 1 8, 1 9, 4 — Hetman polski.
8, 2 0, 2, 1 1, 1 3 — Stolica Grecji.
1, 9, 1 6, 2, 1 2, 1 4, 1 3 — Przysmak wiewiórki.
9, 1, 1 5, 5, 3, 5, 1 8 — Założyciel Rzymu.
1 6, 1, 9, 1 6, 8 — Zjawisko północy.
2, 2 0, 1 1, 1, 2 3, 9, 8, 2 1, 1 7, 8 — Ludoznawstwo.
1 8, 1 6, 1 9, 1, 1 2, 1 7, 8 — Kraj w Europie.
1 6, 8, 1 7, 2 2, 1 2 — Zwierzę z rodzaju gryzoniów.
1 9, 8, 9, 1, 3 — Imię męzkie.
1, 2 4, 2, 9, 2 0, 1 3, 1 1 — Miejscowość sławna zwycięztwem Polaków.
1 0, 4, 3, 1 1, 1 — Miasto na Litwie.
8, 1 1, 2 3, 3, 1 7, 8 — Kraj w Europie.

ŁAMIGŁÓWKA

ułożona przez Giovannę V.

Z poniżej umieszczonych sylab ułożyć 7 wyrazów, których litery oznaczone krzyżykami, utworzą nazwisko znanego muzyka.

Sylaby: mit, sarz, i, wil, łas, bi, szer, a, na, ro, hra, ksa, ślu, burg, szą, ke, se, la, zi.



Znaczenie wyrazów:

1. Miasto w Hiszpanji.
2. Chatka z gałęzi.
3. Rzemieślnik.
4. Tytuł kobiety.
5. Plemię indyjskie.
6. Przystań w Normadji.
7. Materjał.

Za liczne i serdeczne życzenia, nadsyłane mi ze wszystkich stron kraju przeważnie na pięknych pocztówkach, przez miłych czytelników, dziękuję im szczerze.

Marja Bujno-Arctowa.

GAWĘDKA LISTOWNA.

Zagłoby łamigłówkę przyjmuję, lecz nieprędko ją ujrzy w druku.

Józefowi z ul. Kopernika. Pierwszej łamigłówki (ulice Warszawy) przyjąć nie mogę, ponieważ jest ona niemożliwą do odgadnięcia dla mieszkańców prowincji lub Cesarstwa, nie znających tych nazw. Drugą umieszczę, zaś kratkowa jest zbyt dziecinną dla czytelników «Naszego Świata». Przyjemnie mi, że zdanie co do naszego pisma uległo tak gruntownej zmianie i dziękuję za życzliwość. Podręczniki do gry w szachy posiada księgarnia M. Arcta dwa: jeden w cenie kop. 30. drugi za rub. 1 kop. 50

Leliwie. Czytelnicy, podpisujący się pseudonimami, po przyznaniu im nagrody, przysyłają swój adres zawierający prawdziwe imię i nazwisko i wtedy książkę wysyłamy. Miejscowi odbierają ją w redakcji. Szarada jest błędnie rozwiązaną (czworonogi a nie czteronogi).

Rozwiązanie łamigłówki gieograficznej z Nr. 11.

1. Jakuck
2. Aleksandrja
3. Neapol
4. Kongo
5. Opole
6. Cissa
7. Halicz
8. Antwerpja
9. Nantes
10. Ostenda
11. Widdyń
12. Sokotora
13. Kreta
14. Inowrocław

J a n K o c h a n o w s k i.

Rozwiązanie łamigłówki znakomitych ludzi z Nr. 11.

1. Jachowicz
2. Anczyc
3. Napoleon
4. Galileusz
5. Uatt
6. Thordwaldsen
7. Ezop
8. Nansen
9. Bonaparte
10. Edison
11. Richelieu
12. Gawalewicz

J a n G u t e n b e r g.

Dla uniknięcia zwłoki w przesyłce, uprzejmie prosimy o wcześniejsze przysyłanie przedpłaty na kw. 2 gi.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Adres Administracji—Nowy-Świat 53.

Adres Redakcji—Ordynacka 8 m. 7.

Warunki prenumeraty.

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 2 kop. 50	rb. 3 kop. 50
Półrocznie	„ 1 „ 25	1 „ 80
Kwartalnie	„ — „ 65	— „ 90
Rocznie z dodatkami w oprawie	rb. 4 kop. 30	5 „ 30

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.
W Galicji kwartalnie kor. 2.40.

TREŚĆ NUMERU:

Tadeusz Czacki, obrazek sceniczny w dwóch odsłonach (ciąg dalszy) 225
Niewidzialni, tłom. z franc. K. W. (ciąg dalszy) 228
Dzielny rogacz, tłom. M. Arct-Golczewska (z rysunkiem, ciąg dalszy) 230
Wiosenne posły, przez S. O. (z rysunkami) 233
Regalja krolewskie, przygody profesora Nickiego i jego famulusa Pawełka, opowiedział E. Jezierski (ciąg dalszy) 235
Siła oddechu i wąż z karty 238
Drobiazgi 238
Swięcone w ochronce „Mojego Pisemka" 238
„O własnych siłach". Szarada. Łamigłówki 239

Redaktor i wydawca: Marja Bujno-Arctowa

Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3